



Głos w dyskusji o polskiej humanistyce

Rola przekładów z języków starożytnych

W toku dyskusji nad potrzebami i zadaniami polskiej humanistyki, zainicjowanej przez Prezesa PAU, Profesora Andrzeja Białasa, sformułowano już na tym forum wiele ocen i wniosków zarówno natury ogólniejszej, jak i bardziej szczegółowych. Pragniemy do opublikowanych w „PAUzie Akademickiej” wystąpień naszych poprzedników dołączyć głos badaczy antycznej kultury śródziemnomorskiej, świadomych pewnego szczególnego zadania, które Profesor Jerzy Bartmiński w swej generalnej klasyfikacji (PAUza nr 223, 10 października 2013) zaliczyłby do wyzwań praktycznych, nakierowanych na wewnętrzne, polskie potrzeby poznawcze, formacyjne, edukacyjne i kulturowe. Zamierzamy mianowicie podkreślić ważną rolę, jaką w tym obszarze mają do spełnienia filologowie klasyczni jako tłumacze zachowanych dzieł literatury antycznej.

Tak się składa, że pilność tego rodzaju misji stała się znakiem naszych czasów. Współczesny Polak jest praktycznie bezradny, trzymając w ręce książkę z oryginalnym tekstem autorów greckich i rzymskich. Wyparcie greki i łaciny z obowiązkowych programów nauczania na każdym etapie kształcenia zmusza rzesze rodaków do obcowania z bogatą literaturą, z której wyrosła przecież i nasza kultura, wyłącznie w sposób pośredni. Jedynym sposobem na zachowanie obecności tekstów greckich i łacińskich w kulturowej świadomości kolejnych pokoleń Polaków są – i zapewne już pozostaną – przekłady. Konieczność przygotowania dobrych komentowanych tłumaczeń przez kompetentnych filologów i znawców antyku jest też odpowiedzią na potrzeby specjalistów zajmujących się pokrewnymi działami wiedzy o antyku.

Przekonaliśmy się o tym niedawno sami, gdy po dziewięciu latach trudów translatorskich (dodajmy od razu – niezwykle przyjemnych trudów) przedłożyliśmy czytelnikom

przekład monumentalnej *Ucztę mędrców* Atenajosa, greckiego erudyty, antykwariusza i literata z końca II wieku n.e., będącej źródłem informacji z rozmaitych dziedzin kultury materialnej i duchowej świata starożytnego. Docierające do nas w różnej formie komentarze i opinie umocniły nas w przekonaniu, że polski czytelnik, choć posługuje się coraz większą liczbą języków nowożytnych, potrzebuje polskiego przekładu, by wygodnie i operatywnie przebiegać się przez gąszcz treści dzieła i smakować niuanse w nim zawarte. Dodajmy w tym miejscu, że większość krajów europejskich, nawet tych, gdzie poziom znajomości łaciny, a czasem i greki, bywa wśród średnio wykształconych obywateli całkiem dobry, już dawno zrozumiała, że korpus dzieł, które są podstawą naszej duchowej formacji, musi być dostępny w języku narodowym społeczności, aby wszedł do codziennego użytku i nie był traktowany jako „piękne dziwactwo”, dziś niezrozumiałe, a więc niepotrzebne.

Filologia klasyczna jest ze swej natury dyscypliną międzynarodową i naturalnym dążeniem uprawiających ją badaczy jest włączenie się do światowych dyskusji nad nowo odkrytymi tekstami i pogłębiona interpretacja czy reinterpretacja tekstów znanych. Ten ważny dla ukształtowania wizerunku polskiej nauki za granicą cel nie przesłania wagi wspomnianej misji translatorskiej. Polscy literaturoznawcy, badacze dziejów kultury, historycy, archeologowie, by wymienić zaledwie część zainteresowanych, z łatwością wskażą luki wymagające jak najszybszego wypełnienia. Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, podobnie jak wszelkie inne programy i instytucje służące temu szczytnemu celowi, powinien dostrzegać również przedstawione wyżej potrzeby, istotne dla rozwoju naszej kultury.

JERZY DANIELEWICZ
członek czynny PAU

KRYSTYNA BARTOL
członek korespondent PAU

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Naukowe samouwielbienie

Ostatnie lata przyniosły niespotykany rozwój bibliometrii, zmierzającej do oceny wartości naukowców czy instytucji naukowych na podstawie danych bibliograficznych (takich jak cytowania prac, tzw. indeks H autorów, czynnik wpływu czasopisma – *impact factor* IF, itp.). Z danych bibliograficznych coraz namiętniej korzystają niestety instytucje oceniające efektywność badań naukowych lub przyznające środki na te badania (w formie czy to dotacji, czy projektów badawczych) – urzędnikom znacznie łatwiej opierać się na bezdusznych wskaźnikach liczbowych niż na tradycyjnych wartościach, ocenianych poprzez recenzje eksperckie. Tym drugim można zarzucać stronniczość – a przecież liczby podobno nie kłamią...

Otóż kłamią, co niejednokrotnie podnoszono na łamach „PAUzy Akademickiej” i gdzie indziej. Kłamią, bo statystyki są czułe na specyfikę danej dziedziny – a często stosuje się je globalnie. Kłamią, bo miary przeznaczone do oceny dorobku naukowców, jak np. indeks H, stosowane są, sprzecznie z intencją ich twórców, do oceny np. instytucji. Lub nielogicznie – sumuje się czynniki wpływu (IF) czasopism (miary ich cytowalności) jako wskaźnik osiągnięć autorów. Mimo powszechnej jednak wiedzy o ograniczonej jakości miar bibliograficznych podawanie ich jest wymagane, i to w sposób dość humorystyczny, np. przy wystąpieniach o habilitację albo inny tytuł naukowy¹.

Nadmierne stosowanie miar bibliograficznych ma jeszcze jeden ważny, często pomijany aspekt – jest szkodliwe, prowadząc do eksplozji liczby publikacji oraz nadmiernej liczby tzw. autocytoowań, czyli sytuacji, w których autor cytuje swoje własne prace. Z zasady nie ma w autocytoowaniach niczego złego; często autor powinien się odwołać do swoich wcześniejszych prac (są mu one lepiej znane niż inne pozycje literaturowe), kontynuując dane badania. Problemem staje się, gdy tych autocytoowań jest znaczna liczba, co nasuwa podejrzenie, iż proces ten jest celowym działaniem, mającym na celu podniesienie swoich wskaźników.

Autocytoowania bez umiaru są nieeleganckie i, co gorsza, mogą silnie wpływać na bibliograficzne miary, a zatem pośrednio na sukcesy w konkursach projektów badawczych, na nagrody za osiągnięcia naukowe itp. Proponuję prześledzić wybrane przykłady w mojej dziedzinie – fizyce, gdzie polska nauka ciągle utrzymuje w miarę rozsądny standard europejski. Fizyka jest nauką ścisłą, więc wprowadźmy (kolejną!) bibliograficzną miarę – będzie to indeks samouwielbienia IS, zdefiniowany jako stosunek liczby autocytoowań do całkowitej liczby cytowań.

Oczywiście, dla światowej sławy uczonych możemy oczekiwać $IS < 0.1$ – przecięź ich prace są cytowane przez innych. I rzeczywiście, weźmy Franka A. Wilczka (laureata Nagrody Nobla w roku 2004, dr h.c. Uniwersytetu Jagiellońskiego) z $H=90$ i $IS=0.015$. To ekstremalny przykład. IS około 0.08 (8 procent) mają najbardziej cytowany polski fizyk Maciej Lewenstein oraz znany z tego forum ABBA. Chwila analizy pokazuje, że typowo $IS < 0.2$ cechuje czołowych fizyków. Rozszerzając analizę na przedstawicieli nauk ścisłych, napotykamy profesora i członka Akademii, pana M. z $IS=0.25$ (25 procent). Był on kiedyś uważany za przykład naukowca nadmierne cytującego swoje prace. Obecnie – bynajmniej nie jest to ekstremalny przypadek.

Czy należy przejmować się autocytoowaniami? Porównajmy dwóch fizyków w zbliżonym wieku i zajmujących się podobną tematyką. Mając nadzieję na uniknięcie identyfikacji (bo nie to jest celem), porównajmy ich dane. Fizyk „A” ma 48 publikacji, 460 cytowań i $H=13$, fizyk „B” ma 69 publikacji, 812 cytowań i $H=14$. Na pierwszy rzut oka ich osiągnięcia są zbliżone, „B” jest bardziej aktywny. Tyle że fizyk „A” ma $IS=0.09$, podczas gdy fizyk B osiągnął, uporczywą pracą, $IS=0.45$ – prawie połowa jego cytowań to autocytoowania. Odrobina analizy pokazuje, że po usunięciu autocytoowań jego indeks H osiągnie $H=8$, pokazując dobitnie, że jego osiągnięcia naukowe w porównaniu z A są nieszczęśliwe. Ale autopromocja – wybitna.

To nie jest przypadek odosobniony. Kolejny fizyk z $IS=0.4$ potrafił swój $H=11$ podnieść autocytoowaniami do ładniej wyglądającego $H=15$. Oczywiście niszowi fizycy, działający w wąskiej dziedzinie i ze znikomymi autentycznymi cytowaniami, mają tu proporcjonalnie większe pole do popisu. Choć znani są też niezli naukowcy, którzy niepotrzebnie, poprzez nadmierne autocytoowania, psują sobie renomę. Zwiększenie liczby publikowanych prac (w niekoniecznie najznamienitszych czasopismach) i pracowite wykorzystanie autocytoowań pozwalają istotnie zwiększyć swoje statystyki. A te z kolei – podkreślmy to – są głównym elementem oceny w konkursach na projekty badawcze (choć trzeba uznać istotne wysiłki zmierzające do zminimalizowania roli autocytoowań w tym zakresie) i staraniach o awans naukowy.

Z drugiej strony warto zauważyć, że bardzo dobrzy fizycy, pracujący w ograniczonych tematycznie (słabo cytowanych) dziedzinach i charakteryzujący się niskimi cytowaniami (nie stosując sztucznego pompowania wskaźników), mają w obecnej sytuacji znikome szanse na uzyskanie finansowania interesujących skądinąd projektów badawczych.

Nie można też zapomnieć, że kryteria nagradzania pracowników nauki czy doktorantów stają się coraz bardziej powiązane z wcześniejszymi osiągnięciami, mierzonymi wskaźnikami, które są zarówno niedoskonałe, jak i łatwe do manipulowania. Czy rzeczywiście jest to droga do znajdowania najlepszych – czy raczej tych najlepiej dbających o wygląd ich wskaźników bibliometrycznych?

Może jednak, zamiast indeksu H, wrócić choćby do starej miary – liczby cytowań bez autocytoowań? Oczywiście, ta liczba jest czasem niedoskonała (błędne prace mogą przynieść wiele cytowań w formie sprostowań), ale manipulowanie nią wymaga zmywu kilku osób i zatem jest trudniejsze.

JAKUB ZAKRZEWSKI

Instytut Fizyki im. M. Smoluchowskiego
Uniwersytet Jagielloński

p.s. 1. Fakt, iż miary bibliometryczne mogą być fałszowane przez autocytoowania, jest dobrze znany. Celem tej notki jest jedynie przypomnienie tego faktu i zwrócenie uwagi na jego ewentualne konsekwencje. Więcej Czytelnik może znaleźć np. w Wikipedii: <http://en.wikipedia.org/wiki/H-index>

p.s. 2. Buszując w Internecie, znalazłem interesujący link dla tych, którym jednak zależy na podniesieniu swojego indeksu H poprzez autocytoowania. Jeśli chcecie – róbcie to chociaż profesjonalnie: http://www.academia.edu/934257/How_to_increase_your_papers_citations_and_h_index_in_5_simple_steps

¹ J. Zakrzewski, *O reformie nauki*, „PAUza Akademicka” 154, 9 lutego 2012.

Obok, nie zamiast

Artykuł prof. Andrzeja Jajszczyka *Learn English, Dear Scholar...* („PAUza Akademicka” nr 232) prowokuje do dyskusji w kontekście znacznie ogólniejszym niż tylko wymóg Rady Narodowego Centrum Nauki, by tekst wniosku, poddawany ocenie na drugim etapie, przedkładany był wyłącznie w języku angielskim. I nie chodzi tu o polemikę z sugestią, jakoby przedstawiciele nauk humanistycznych (w tym poloniści) w swej przeważającej liczbie nie znali angielskiego, nie doceniali jego roli w obiegu współczesnej myśli naukowej i nie chcieli się go uczyć. To nieprawda, ale nie będę szerzej rozwijać tego wątku. Wspomnę tylko, że poloniści i slawiści posługują się angielszczyzną w kontaktach naukowych z ośrodkami badawczymi i czasopismami w USA, Kanadzie, Wielkiej Brytanii i krajach skandynawskich, natomiast na kontynencie europejskim i w krajach Ameryki Południowej bardziej potrzebują niemieckiego, rosyjskiego i języków romańskich. Oczywiście jest, że dziś żaden z tych języków nie wytrzyma konkurencji z angielskim jeśli chodzi o zasięg, ale konsekwencją światowej dominacji angielszczyzny musi w naukach o kulturze być jej obecność OBOK, a nie ZAMIAST języków narodowych. Tak więc WYŁĄCZNOŚĆ angielskiego we wnioskach na drugim etapie nie wydaje się poddyktowana troską o „umiędzynarodowienie polskiej nauki”, jak pisze dyrektor NCN, ale wygląda raczej na gest autokolonizacji. Nawet w czasach stalinowskich uczeni uniwersyteccy w PRL nie musieli do ministerstwa pisać pism w języku rosyjskim.

Tu dochodzimy do dwu szerszych kontekstów sporu. Pierwszy to nieuwzględnianie specyfiki nauk humanistycznych (nauk o kulturze). Pisano już o tym na łamach „PAUzy Akademickiej” w kontekście wymagań NCN (nr 230 – prof. Andrzej Białas i prof. Szczepan Biliński, oraz nr 236 – prof. Maria Korytowska). Przejdę więc od razu do drugiej sprawy. Otóż stanowisko prof. Jajszczyka wydaje mi się jednym z przejawów „polskich problemów z peryferyjnością” (jak pisał na przykład Tomasz Zarycki¹), które odślaniają się m.in. dzięki socjologicznej analizie dyskursu publicznego – tam, gdzie wchodzi w grę kapitał już nie tylko ekonomiczny lub polityczny, ale kulturowy, w którego wypracowywaniu mają swój udział elity akademickie. Zarycki odwołuje się do opozycji „centrum – peryferie” w skali globalnej, uwzględnia m.in. niektóre kategorie teorii postkolonialnej w odniesieniu do procesów modernizacyjnych w społeczeństwach, które weszły do Unii Europejskiej po długim okresie utrudnionych kontaktów z najbardziej zaawansowanymi krajami świata – także w zakresie rozwoju nauki. Spór o użycie języka polskiego i/lub angielskiego w polskim życiu naukowym dotyczy naszego miejsca w globalnej hierarchii i dystrybucji kapitału kulturowego. Szczególnie w naukach humanistycznych krajów, które nie znajdują się w samym rdzeniu metropolii, wyostrza się opozycja: albo dążenie

za wszelką cenę do światowego centrum (bezwzględne podporządkowanie hegemonii angielszczyzny) – albo obrona własnej tożsamości kulturowej, nieodłącznie związanej z językiem ojczystym, zagrażająca jednak też stagnacją i wiecznym zamknięciem na peryferiach. Każdy z członów tej alternatywy, jeśli będzie traktowany jako absolut, prowadzi do wtórności, kopiowania albo wzorów tworzonych gdzie indziej, albo własnej przeszłości.

Wypieranie języka ojczystego z życia naukowego (we wszystkich dziedzinach, nie tylko w humanistyce) nie prowadzi do „umiędzynarodowienia polskiej nauki”, ale do intelektualnego neokolonializmu i samoupodrzednienia. Wykluczanie polszczyzny z wyższych regionów życia intelektualnego, sprowadzenie jej do poziomu popularyzacji nauki i potocznych praktyk codzienności, to wejście na równię pochyłą wtórności wobec światowych anglojęzycznych metropolii. W globalizującym się świecie „małe” (niezaliczane do kongresowych) języki muszą być chronione podobnie jak ginące gatunki przyrodnicze, w trosce o wspólne bogactwo różnorodności. Kontakty międzykulturowe w rodzinie człowieczej odbywają się dzięki tłumaczeniom i badaniom porównawczym, a nie dzięki sprowadzeniu każdej myśli, o każdym zjawisku, do sekwencji zdań angielskich. Upowszechnienie angielszczyzny ma też dobre strony, ale jeśli ta wspólna płaszczyzna miałaby się stać JEDYNA, byłaby to całkowita „katastrofa ekologiczna” dla wszystkich kultur świata, a więc także dla bogactwa i różnorodności twórczego życia naukowego.

Na koniec warto dodać, że są sytuacje, w których „umiędzynarodowienie polskiej nauki” dokonuje się w języku polskim, wyjątkowo występującym wówczas jako język o zasięgu światowym. Od roku 1998 odbywają się w naszym kraju Kongresy Polonistyki Zagranicznej. W roku 2016 będzie szósty z kolei. Biorą w nich udział badacze z niemal wszystkich krajów Europy (ze Wschodu i Zachodu), z obu Ameryk i Azji. Obrady i dyskusje toczą się po polsku, ponieważ jest to jedyny język, który znają wszyscy bez wyjątku uczestnicy – od Japonii i Korei Południowej, poprzez Chiny, Rosję i Gruzję, po Kanadę i Brazylię. Po polsku też publikowane są materiały kongresowe, które trafiają potem do ośrodków naukowych na czterech kontynentach. Przyznawana jest Nagroda im. Jana Kochanowskiego (cytuję regulamin): „za wybitne osiągnięcia naukowe w dziedzinie polonistyki, a w szczególności za prace dotyczące historii literatury polskiej, krytyki i teorii literatury, teatrologii i filmoznawstwa, kulturoznawstwa, *gender studies*, językoznawstwa, językoznawstwa stosowanego i glottodydaktyki oraz problemów przekładu”, którą „może otrzymać jedynie pracownik naukowy zatrudniony i mieszkający stale poza granicami Polski” – ale bez względu na to, w jakim języku nagrodzona praca została opublikowana.

MAŁGORZATA CZERMIŃSKA

Uniwersytet Gdański

¹ T. Zarycki, *Ku socjologicznej analizie dyskursu elit peryferyjnych* [w:] *Wartości, polityka, społeczeństwo*, red. M. Zahorska i E. Nasalska, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2009.

zaPAU

Przed wojną było lepiej?

Chociaż od pewnego czasu staram się nie zwracać uwagi na tzw. bieżącą politykę (bo w moim wieku stres, jak słyszę, bywa istotną przyczyną poważnych kłopotów ze zdrowiem), to jednak nawet do mnie dochodzą sygnały o nadzwyczaj nieobyčajnym zachowaniu naszych reprezentantów w czasie debat sejmowych. Podobno wyzywają się wzajemnie od najgorszych, a krew nie leje się tylko dlatego, że nawet posłowie nie są uprawnieni do wnoszenia broni na salę obrad. Wielu moich przyjaciół ubolewa nad upadkiem obyczajów. A często słysząc (zwłaszcza w Krakowie): przed wojną nie do pomyślenia.

Otóż opinie tego rodzaju świadczą wyłącznie o tym, że pamięć ludzka jest krótka i niedoskonała. Wszystkim, którzy sądzą, że pod tym względem „przed wojną było lepiej”, polecam spojrzenie na str. 104 niedawno wzniesionego zbioru Antoniego Słonimskiego i Juliana Tuwima *W oparach absurdu*. Znajdujemy tam tekst pt. „MMMCLXV posiedzenie Sejmu”, który zaczyna się tak:

Na wczorajszym posiedzeniu sejmu gorącą dyskusję wywołał wzniesiony przez nowy gabinet pp. Korfantego i Strońskiego projekt ustawy o powściągliwości słowa w mowach poselskich. Projekt ogranicza ilość wyzwick do maksimum pięciu w ciągu kwadransa, przy czym najwyżej dwa mogą dotyczyć rządu.

Dalej następuje opis reakcji publiczności, a potem jeszcze informacja o stanowisku opozycji:

Przedstawiciel klubu Chrześcijańsko-Katolicko-Narodowo-Ludowo-Wszechpolskiego, poseł Głęb, wywołał, że projekt rządowy jest zamachem na przyzwyczajenia i gusty społeczeństwa. Ingerencja państwa – mówił – posuwa się za daleko. Precz z etatyzmem! Niech każdy mówi co mu każe rozum, serce, wątroba, żółć i inne kiszki! Wolność, panowie!

Głos: ucałujcie się! (wesoleńcy).

Zgłoszono następnie szereg wniosków kompromisowych: o uznaniu prawa do 2,3,6 i 8 wyzwick.

.....

Dalszy ciąg dyskusji na posiedzeniu dzisiejszym.

Więc o co właściwie mamy pretensje? Nasi reprezentanci po prostu powtarzają najlepsze historyczne wzory.

A jak wygląda sytuacja na naszym, profesorskim, podwórku? Trzeba przyznać, że na korytarzach polskich uczelni wyzwicka słyszy się raczej rzadko. Wręcz przeciwnie, wszyscy starają się być wzajemnie uprzejmi, skrytykować kolegę-profesora uchodzi za *faux pas*. Brak ostrej krytyki naukowej to – często słyszę – jeden z głównych powodów słabości polskiej nauki. A jak było przed wojną?

Znowu cytuję (Antoni Słonimski, *Kroniki Tygodniowe*, 1 Października 1933):

Znam troszkę ten świat i przyznać muszę, że walki literatów to szlachetne turnieje rycerskie w porównaniu do skrytobójczych metod i trucicielstwa uprawianego przez profesorów. Od czasu powstania dodatku naukowego do „Wiadomości Literackich” o każdym z piszących tam słyszałem od jego kolegów, że jest skończonym ignorantem. Ale pewien jestem, że gdybym wymienił jakieś nazwisko, każdy zaparłby się w żywe oczy. Profesorowie piszą listy anonimowe, ale nie oskarżają publicznie innego profesora, bo są związani hierarchią i stosunkami uniwersyteckimi. To nie są insynuacje, ale rzetelna prawda. Są wśród nich ludzie o wspaniałej precyzji myślenia, ale uczucia zbyt łatwo zabarwiają ich umysł.

Tyle Słonimski. Resztę każdy może dopisać sobie sam.

ABBA



PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.